Rok IXty. Nr. 31.

Szkółka  niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela dwunasta po Zielonych świątkach*, dnia 3. Sierpnia 1845.

Religia.

Historya nawrócenia mieszkańców wysp gambijskich w Australii.

(Dalszy ciąg.)

Król odpłynął na tratwie do Tarrawai, i dla tego ojcowie uprzedzili go swoim statkiem na dobrą chwilę. Wyszli oni z ludem do brzegu na jego przyjęcie. Skoro ich zoczył, poszedł naprzeciw ich powitać. Siedzieli obok siebie na ziemi. Chciał on zajrzeć do brewiarza księdza Caro i zastanawiał się nad wizerunkami Matki boskiéj, Jezusa ukrzyżowanego, i świętego Frańciszka Ksawerego, które mu ksiądz Caro pokazał. Skoro młody król swoję ciekawość zaspokoił, wstał prędko i poszedł swoją drogą. Następnego ranku (3go Marca) obecny był król, wraz z krajowcami, Mszy świętéj. Ksiądz Laval czytał Mszą świętą, i właśnie gradualną modlitwę kończył, kiedy król przyszedł i zaglądając mu w oczy, liczne zadawał pytania. Kapłan mu rzekł, iżby spokojnie stał z daleka, gdyż teraz modlitwą są zajęci. „Cóż to jest?“ zapytał on. „To jest,“ odpowiedział kapłan, „wielka modlitwa, którą wielkiemu Bogu ofiarujemy. Jego tylko samego należy wielbić.“ Nakazał mu potém milczenie; lecz po kilku minutach zapytał król znowu: „Czemuż oczy twoje nie są otwarte?“ Nakazał mu znowu milczenie. Podczas ofiarowania zbliżył się do kapłana, chcąc widzieć, co czyni. Tu dał mu znak ksiądz Caro, iż się ma cofnąć. Zawstydziło go to, i cofnął się, milcząc. Po mszy ukazał się z dziećmi i chciał być na naukę przyjęty. Ojcowie uważali, że młody król był dumny i nie ugięty, kiedy mu pobłażali, że przeciwnie ustępował i rozsądnie się zachowywał, kiedy mu stałość okazali. Po modlitwie szkolnéj rozkazał on księdzu Caro, aby do niego przyszedł i uczył go czytać. „Nie,“ rzekł ksiądz Caro, „chódźcie tu sami.“ Król przybrał ton pański i zawołał ze wszystkich sił: „Tarota niech tu przyjdzie!“ Lecz ten odpowiedział mu łagodnie, jednak z nieugiętością: „Missyonarz nie pozwala sobie przeszkadzać; jeżeli chcecie, to chódźcie tutaj.“ Nie odpowiadał nic na to, lecz zaraz udał się do księdza Laval i okazał się bardzo pojętym. Ten kazał mu czytać i znak krzyża czynić. Już podczas szkoły żądał on od ojców statku przewoźnego, zamierzając przejechać się dla rozrywki do góry piaskowéj, na 3 godziny odległéj. Od-

mówili mu tego, gdyż przewidywali, iżby łatwo na skałę z towarzyszami wpadł i rozbił statek, który ich tyle kosztował i był bardzo potrzebny. Potém swe żądanie powtórzył, i by je tém łatwiéj osiągnął, przyobiecał jeszcze tego wieczora powrócić. Przyrzekli mu wreszcie, by go tém łatwiéj dla Jezusa pozyskać; lecz postanowili sami z nim popłynąć, by statek i podróżnych od szwanku ochronić. Król, mimo swéj obietnicy, kazał wziąść żywności na cały tydzień, i skoro tam przybyli, kazał ojcom oświadczyć, że tam chce nocować. Lecz ci odrzekli, że tego wieczora wracali do Tarrawai. Wieczorem kazali mu oznajmić, iż mu drugą razą statku przewoźnego nie dadzą, jeśli z nimi do Tarrawai nie wróci. Tak lud ten podobny jest do dzieci, i posłannicy wiary staliby się wnet igrzyskiem jego kaprysów i humorów, gdyby nie byli również stałymi jak dobrymi i uprzejmymi.

Za przybyciem na wyspę Tarrawai, posłyszeli oni, iż dziecię arcykapłana umarło. Zasmucili się tém ojcowie, gdyż jeszcze nie było ochrzcone. Następnego dnia odpłynęli bardzo rano do Mangarei i z wielkiém dla siebie weselem dowiedzieli się, że dziecko jeszcze żyje, i nie chrzcili go aż do wieczora, ponieważ jeszcze niebezpieczeństwa nie uważali. Wtém dano znać, że 26ciu dzikich z innych wysp, Paumuti zwani, którzy perły poławiali, na wyspę, jako nieprzyjaciele, wylądowali. „Oberwą nam wszystkie owoce,“ rzekł arcykapłan. „Nie masz szkody, któréjby nam nie wyrządzali. Idźcie obadwa i wypądźcie ich z wyspy, bo inaczéj zginęliśmy wszyscy.“ Ojcowie byli w wielkim kłopocie: czyli rozsądném przełożeniem gości nieproszonych na lepszą drogę naprowadzić i od rozbójniczego rzemiosła mieli odwieśdź? Dobro missyi tymczasem wymagało, aby się interesowali nowo-nawróconymi, i niczego nie opuścili, by im spokojność wrócić. Poszli więc, a niektórzy z krajowców rozgłaszali po drodze, co ojcowie czynić zamyślali. Wnet zebrała się koło nich znaczna gromada wyspiarzy, którzy im aż do góry towarzyszyli, za którą leżała zatoka, gdzie się zbójcy schronili. Tu przybywszy, rozkazali kapłani gromadzie na górze pozostać, sami zeszli na dół rozprawić się z Paumutami. Polecili tę sprawę przyczynie Maryi, i ukazali się z wypogodzoném czołem tym ludziom złośliwym. Byli to ludzie, pochodzący z wyspy, gdzie innych wyznań Missyonarze osiedli. Ich nauka nie przyniosła jeszcze dobrych owoców. Obadwa kapłani chcieli tych dzikich łagodnością pozyskać i rzekli do nich, iżby się wstrzymali od grabieży, którą się dotąd bawili; że skoro raz prawego Boga poznali, to powinni jako uczciwi ludzie postępować. Z początku zapierano, o co ich obwiniano. Następnie do mieszkańców wyspy obróciwszy się, rzekli: „Dopóki Missyonarzów nie przyjmiecie, nago chodzić i bałwanom będziecie się kłaniać, dopóty nie przestaniemy was grabić. Jeśli uznacie jednego Boga i inaczéj żyć będziecie, wtedy przestaniemy was po nieprzyjacielsku nachodzić.“ „Przestańcie,“ rzekli im kapłani, „bo lud ten jest dobrym ludem.“ Zbójcy ślubowali pokój, a kapłani się cofnęli, niosąc tę wiadomość arcykapłanowi Matura; bo on jest piérwszym po królu, a król nie był wtédy obecny. Matura dziękował im za dobrodziejstwo, które jego narodowi wyświadczyli, uwalniając ich od zgrai zbójców, co ich tak wielkiego strachu naba-

wiła, i ofiarował im dom własny na nocleg. Był to dom dla ich bożyszcz; lecz gdy nie było innéj gospody, przyjęli i tę ofiarę. Mieli także przyjemność, iż bliżéj byli chorego dziecięcia, które tego jeszcze wieczora ochrzcić chcieli, ale potajemnie; było to dziecię bowiem pogańskiego arcykapłana. Woda chrztu płynęła w przybytku szatana, z wielkiém zapewne jegoż udręczeniem. Uzbroiwszy się krzyżem świętym, pokładli się na żaglu swego okrętu; sam Matura zaś i mnóstwo ciekawych, leżeli około ognia, który mieszkanie oświecał.

Drugiego dnia (5go Marca) chcieli ojcowie odmówić modlitwy, kiedy pogański arcykapłan w tłumie wyspiarzy wpadł zadyszany, skarżąc się na zerwanie pokoju przez Paumutów. Niegodziwa zgraja zbójców jeszcze téj nocy łupiła i wichrzyła, a cała wyspa sądziła się już za zgubioną. „Zginęliśmy," wołał Matura. „Chódźcie jednak, chódźcie!" Nie było czasu myśleć o odporze i ojcowie musieli iśdź naprzód. Po całéj wyspie rozległ się gwałt i wszyscy ludzie zebrali się razem, dzidami uzbrojeni; arcykapłan okazał wielką czynność, lecz gdy do góry przybyli, za którą Paumuci obozowali, waleczny wódz nie chciał pójśdź daléj. Lecz ojcowie grozili, iż bez niego nie pójdą daléj, zwłaszcza, iż tylko dla jego i krajowców dobra wyszli: „My nie idziemy bić się, lecz rozprawić z Paumutami i zniewolić ich, aby zdobycz oddali." Musiał się więc znowu do orszaku przyłączyć i przybyli do przeciwników. Gromada musiała w tyle pozostać, a ojcowie przełożyli swoje zażalenia. Ich dowódzca, Amerykanin, dobrze przyjął te przełożenia i zaraz był gotów między ludźmi swoimi zarządzić śledztwo. Musiano z obu stron broń złożyć i łupy oddano właścicielom. Już dziękowali obadwa Bogu miłościwemu, za tak pomyślny wypadek sprawy, i chcieli właśnie jeść śniadanie, które pośrednikom z obu stron przygotowano, gdy wtém powstaje spór między dwoma przeciwnikami. Udało się wprawdzie ojcom rozbroić kłótników; lecz Paumuci, złośliwy naród, narobili wrzawy i wpadli na bezbronnych wyspiarzy. Pośród krzyku okropnego porwali i ci za broń i walka była powszechna. Walczyli jakby lwy przeciw lwom. Chrześciańscy kapłani znajdowali się z godzinę wśród dzid, strzelb, oszczepów, pełni ufności w Bogu i jedynie zajęci uspokojeniem stron obudwóch. Nie słuchano wprawdzie ich głosu, gdyż okropny odgłos 1,000 wyspiarzy, walczących przeciw 26 Paumutom, zagłuszał. Ocalili oni jednak dwom Paumutom życie i wstrzymali złe własném niebezpieczeństwem. Wśród wrzawy walki z obu stron miano dla nich uszanowanie i nie jeden oszczędzał nieprzyjaciela z bojaźni ugodzenia ojców. Nakoniec udało się Paumutom uciec, i rzucić się w morze, dla dostania się do trzech statków swoich przewoźnych. Ścigali ich tu krajowcy, od niewiast swoich zapaleni, i zdobyli statek, w którym się amerykański dowódzca znajdował. Ojcowie lękali się o jego życie, lecz w końcu dostali go w swoje ręce i ocalili. Z łaski Boga byli od ran wolni, i cieszyli się, że w tak zapalczywéj walce nikt nie poległ, a z wielu ranionych nikt nie był śmiertelnie ranny. Po bitwie umawiali się oni z arcykapłanem względem dobytego statku, i ten przyrzekł oddać go właścicielowi, oraz postanowili zaraz na własnym statku swoim do Akany odjechać, gdzie Amerykanin mógł się spodziewać więcéj bezpieczeństwa. Przed odjazdem chciał

im Matura dać jeszcze jeden dowód swéj wdzięczności, iż wyspę od jéj nieprzyjaciół uwolnili. Obiecał im dać dom, w którym noc przepędzili i dziecię jego ochrzcili. „Zostańcie tu,“ rzekł on, „i założcie szkołę; ten dom jest waszym.“ „Kiedy tak,“ odpowiedzieli, „każcie wyrzucić bożyszcza wasze, wynieście zwłoki, każcie to łoże dokąd indąd przenieść, oczyścić dom i wysypać piaskiem. Jeśli to uczynicie, to wrócimy za 3 dni i zajmiemy go w posiadłość.“ Żałowali, iż tego zaraz uczynić nie mogli. Wszystko już było w pokoju, kiedy wyspę Mangarec opuścili. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

Gazety.

(Dalszy ciąg.)

„Jeszcze Bolesław Wysoki w przywileju klasztoru lubieńskiego roku 1178. mówi o podatkach, służebnościach, orce, tylko na rzecz monarchy, kasztelanów lub innych urzędników (suparüalii), choć oczywiście chce wyrazić obowiązki kmieci względem wszystkich a wszystkich osób.

„Pierwiastkowo nie było wcale wsi szlacheckich, lecz pewnie w XII. stuleciu zjawiać się poczęły. Z tą uwagą należy czytać słowa jednego z lepszych pisarzy, które następują: „Przechodziły z rąk do rąk dobra,“ mówi Skrzetuski wprawie politycznem, „jak i teraz; dawali je królowie duchownym lub rycerstwu, przedawali je szlachta, ale kmiecie czyli chłopi odmieniając panów, nie przestawali być właścicielami i dziedzicami gruntów swoich. W wielu przywilejach czytamy kmieci nazywanych dziedzicami; znajdujemy także, iż sprawy o dziedzictwo chłopskie od jurysdykcyi książęcéj były wyłączone. Już, co się sprawiedliwości tycze, wiadomo jest z dziejów starożytnych, że wszyscy poddani dóbr książęcych, jak szlacheckich i duchownych, sądzili się w sądach kasztelanów, których naówczas niby powiatowymi rządcami i sędziami monarchowie polscy z ramienia swego stanowili. Dziedzice nie mieli władzy sądzenia poddanych swoich, chyba, że na to osobne przywileje od królów lub książąt otrzymywali. Jakoż prerogatywa ta była często pozwalana naprzód duchownym, że książęta polscy czyniąc im fundusze, uwalniali poddaństwo dóbr im nadanych od sądów kasztelańskich, od wszelkiéj swojéj jurysdykcyi, zostawując rozsądzeniu opatów lub jakiegokolwiek nazwiska przełożonych duchownych, wszelkie wieśniaków sprawy. Czasem jednak spory o dziedzictwo chłopskie sądowi nadwornemu warowali, jak między innemi opiewa przywiléj Leszka Czarnego roku 1286., dany klasztorowi tynieckiemu: „wyjąwszy sprawę o dziedzictwo, w któréj nieinaczéj będą pozywani, tylko przez list naszą pieczęcią zaopatrzony.“ Podobnież dziedziczne dobra szlacheckie, a nawet nadawane od siebie imiona szlachcie i rycérzom wyjmowali od władzy swojéj, oddając dziedzicom zupełną moc sądzenia. Nakielski i Antiquit. Miechow. wypisuje przywiléj Bolesława Wstydliwego roku 1252., dany Klemensowi z Ruszczy, wojewodzie krakowskiemu. Przetłumaczone z łacińskiego słowa tego przywileju są: Niechajże ma ten Comes Klemens, ze wszystkimi następcami swymi, władzę sądzenia ludzi swoich, do wszystkich wyroków, podług formy dworu naszego. — Podobnyż przywiléj, z dawna Płazie, Zawiszy i Nekandzie z Grzegorzowic służący, a przez Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełłę potwierdzony, wspomina Okolski in Orb. Polon. lit. Topor. (Dalszy ciąg nastąpi.)